

PAMIĘCI MARKA I ALINY EDELMANÓW

Marek Edelman, ostatni przywódca powstania w getcie warszawskim, zmarł 2 października 2009 r. Pochowany na cmentarzu żydowskim w Warszawie przy ul. Okopowej, w grobie, w którym spoczywa kilku jego kolegów z Żydowskiej Organizacji Bojowej. Na pogrzebie nie zabrakło przedstawicieli kultury, mediów i polityki, z prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele. Nie było żadnych akcentów religijnych. Zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, który do końca pozostał wierny swym lewicowym, bundowskim przekonaniom.

Edelman, choć znany znacznej części opinii społecznej w Polsce i na świecie, czeka jeszcze na swojego biografa, który zbierze rozproszone po świecie materiały i rzetelnie opowie o jego niezwykłym, burzliwym życiu. On sam mało o to dbał. Przeciwnie, raczej milczał, bo nie chciał, by robiono z niego bohatera. Nie lubił patosu i pomnikowej pozy. Jest autorem jednej tylko, małej książeczki, wydanej tuż po wojnie, w roku 1945, która mówi o walce getta warszawskiego z niemieckim okupantem. Tak też ją nazwał *Getto walczy*. Próżno by w niej szukać barwnych opisów walk, a tym bardziej eksponowania własnej osoby. To raczej suche sprawozdanie, gdzie on sam pojawia się rzadko i tylko w trzeciej osobie. Pozostałe książki z jego udziałem oparte są na wywiadach, jakich udzielał swym rozmówcom. Pierwsza i bez wątplenia najsztywniejsza, *Zdążyć przed Panem Bogiem* Hanny Krall, powstała dopiero ponad trzydzieści lat od zakończenia wojny, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych ukazał się *Strażnik*, także oparty na rozmowach z nim przeprowadzonych, tym razem przez Rudiego Assuntino i Włodka Goldkorna. W przededniu jego śmierci ukazały się jeszcze dwie pozycje: *I była miłość w getcie* autorstwa Pauli Sawickiej oraz *Marek Edelman. Życie po prostu* Witolda Beresia i Krzysztofa Burnetko. W latach dziewięćdziesiątych powstał też film Jolanty Dylewskiej *Kronika powstania w getcie warszawskim według Marka Edelmana*.

Edelman stawał się postacią znaną w kraju i na świecie. Za to w naszej zbiorowej pamięci prawie nie funkcjonuje postać jego żony, skrytej tak za życia, jak i po śmierci, w cieniu swego wielkiego męża, Aliny Margolis-Edelman. A szkoda, bo była to kobieta nie mniej wybitna, o podobnym zresztą życiorysie. Wystarczy wziąć do ręki opublikowane przez nią krótkie wspomnienia *Tego, co mówili, nie powtórzę...* (pierwotnie: *Ala z Elementarza*), by zobaczyć, że w niczym mężowi nie ustępowała. Ich losy nie tylko się splatają, ale też wzajemnie uzupełniają.

Wychowali się w rodzinach o podobnych, lewicowych przekonaniach. Matka Marka była zasłużoną działaczką Bundu. Podobnie jej liczni bracia, którzy wszyscy, w jednej, tej samej egzekucji, padli z rąk bolszewików. Po tych wydarzeniach wraz z mężem uciekli na zachód, do Warszawy. Ojca Marek nie pamiętał. Zmarł, gdy syn miał zaledwie kilka lat. Niewiele później zmarła też matka. Został sam. Jak twierdził, wychował go Bund, członkowie tego ruchu, którzy zaopiekowali się sierotą. Alina w tym czasie mieszkała w Łodzi, wraz z rodzicami i młodszym bratem, Olkiem. Dom był w pełni polski, nie obchodzono tylko świąt katolickich. Była za to choinka i prezenty pod nią w noc wigilijną. Przyjacielem domu był Marian Fal-

ski, autor *Elementarza* dla dzieci. On to uwiecznił Alinę, jako „Alę, która ma kota”, tę właśnie, o której uczyły się polskie dzieci. O swym pochodzeniu Alina dowiedziała się dopiero od siostry zakonnej, która nie pozwoliła jej uczęszczać na zajęcia z religii chrześcijańskiej. Nie wiele później „uświadomili” ją harcerze, których szeregi także musiała opuścić. Miesiąc po wkroczeniu Niemców do Łodzi, w Święto Niepodległości Polski, 11 listopada, jej ojca aresztowano jako zakładnika. Zginął za Polskę, w masowej egzekucji. Alina z matką i bratem przeniosła się do Warszawy. Tam spotkała Marka.

Nie od razu jednak. Marek w tym czasie działał w bundowskiej konspiracji, wydawał podziemne gazetki, był posłańcem i pełnił wiele innych funkcji. Zmieniał często miejsce zamieszkania, spotkać go można było na Dzielnej, Muranowskiej, Lesznie. Po Wielkiej Akcji z lata 1942 r. wszedł w skład tworzonej Żydowskiej Organizacji Bojowej, której celem była walka z Niemcami w przypadku podjęcia kolejnej próby wysiedlania ludności. Na czele ŻOB, liczącej kilkuset członków, stał Mordechaj Anielewicz. W jej składzie większość stanowiły różne formacje syjonistyczne. Marek był członkiem sztabu, gdzie reprezentował Bund oraz dowodził grupą bojową członków tej partii. Alina dwukrotnie opuszczała getto i ostatecznie ukryła się u zaprzyjaźnionej rodziny, potem u ich przyjaciół, bardzo patriotycznie nastawionych osób, którym jednak nie wyjawiono prawdy o jej pochodzeniu. Całe szczęście, jak się bowiem okazało, ich miłość do ojczyzny była równie wielka co nienawiść do Żydów. Kiedy więc Marek walczył w getcie, Alina obserwowała te wydarzenia z drugiej strony muru. Była świadkiem, jak milczący tłum pozwolił granatowemu policjantowi aresztować osmaloną płomieniami dziewczynę, która na oczach zebranych wyczołgała się z płonącego getta przez dziurę w murze. Wtedy właśnie, jak wspominała, po raz pierwszy w życiu poczuła się Żydówką.

Stali się sobie bliscy dopiero po upadku Powstania Warszawskiego, w którym oboje walczyli. Ona wyszła wraz z całą ludnością miasta na warunkach przewidzianych w układzie kapitulacyjnym i znalazła się w Pruszkowie. On pozostał w Warszawie, bo oficer AK, z którego oddziałem grupa członków ŻOB chciała wyjść z miasta, nie mógł zagwarantować, że nikt z jego ludzi nie wyda Żydów Niemcom... Nie chcąc ryzykować, postanowili więc zostać. Ukryli się na Żoliborzu, w piwnicy domu przy ul. Promyka 41. Po kilku tygodniach, gdy ich stan stawał się krytyczny, przybyła na ratunek ekspedycja sanitariuszy zorganizowana przez Stanisława Świtonia, dyrektora szpitala Czerwonego Krzyża w Bernerowie. Brała w niej udział Alina. Nie obyło się bez śmiertelnego niebezpieczeństwa. Po latach wspominała: „Wychodzili z piwnicy jeden po drugim, mrużąc oczy od ostrego światła. [...] Najbardziej zagrożony jest Marek z tym swoim nieszczęsnym żydowskim wyglądem [...]. Zbliżyliśmy się i... to nie są ci sami Niemcy! Warta zmieniła się [...], ci nie wiedzą, ilu nas było [...]. Potem podchodzą do noszy Marka, z wyciągniętą ręką, żeby podnieść koc. Idąc, pytają, kogo tu niesiemy. Martwa cisza [...]. W tym momencie Barbara mówi po niemiecku: *Achtung! Fleckfieber* [...]. To zdanie uratowało nas. Niemcy panicznie bali się tyfusu. Ten, który zbliżał się do noszy Marka i ręką prawie już dotykał koca, odskoczył nagle jak oparzony, wrzasnął: *Alle raus! Schnell!* I pokazał nam grubym wskazującym palcem kierunek”.

Od tego czasu na wiele lat ich drogi się złączyły. Cała grupa zamieszkała w Grodzisku Mazowieckim, jak na ironię w piętrowym domu, w którym na parterze stacjonowali Niemcy i mieścił się sztab *Zur Bekämpfung der Banditen und Partisanen* (zwalczania bandytów i partyzantów). Ukrywali się na strychu. Alina zapamiętała niemieckiego majora, który często na podwórku śpiewał piosenkę: „*es geht alles vorüber, es geht alles vorbei... nach jedem Dezember kommt immer ein Mai*”. Potem przyszli Rosjanie. Alina i Marek zamieszkali razem w Łodzi.

Powojenne zamieszanie oraz nowa okupacja sowiecka spowodowały, że przez kraj przeczały się niepokoje. Po raz kolejny okazywało się, że Żydzi są narażeni na agresję. Marek udał się do Kielc natychmiast po pogromie, który pochłonął ponad czterdzieści ofiar. Jeszcze przez wiele lat trzymał za łóżkiem przyzwoity arsenał, tak... na wszelki wypadek. Z Aliną stworzyli dość udany związek. Marek pracował i studiował medycynę. Razem podróżowali. Urodziło im się dwoje dzieci. O emigracji do Izraela czy gdziekolwiek na Zachód nie myśleli, bo Polska była ich domem. I tak było do końca lat sześćdziesiątych, kiedy odgórny antysemityzm władz peerelowskich postanowił wykorzystać potencjał niechęci do Żydów drzemiący w społeczeństwie. Nadszedł Marzec 1968 r.

Tym razem było to coś innego niż dotychczasowe szykany. Alinie uniemożliwiono habilitację, Marek co prawda to uczynił, ale Warszawa odmówiła zatwierdzenia. Wyrzucono go z pracy. O siebie się nie bał, wyjeżdżać też nie zamierzał. Jak mówił: „Nikt mi nie będzie dyktował, gdzie mam żyć”. Żonę jednak i dzieci postanowił, używając języka czasów wojny, umieścić „po tamtej stronie murów”. Ostatecznie znalazła się we Francji. Każde na swój sposób realizowało swą medyczną karierę. Alina do Polski zawitała dopiero w 1986 r., na pogrzeb matki. Marek, mimo szykan, stawał się coraz bardziej znany jako lekarz w Polsce. W styczniu 1969 r. brał udział w pierwszym w Polsce zabiegu transplantacji serca, w czerwcu 1971 r. w pierwszej operacji naczyń wieńcowych serca „na ostro”, tj. w trakcie zawału pacjenta, zaś rok później zastosował nieznaną wówczas metodę wstecznego obiegu krwi. Efektem ich działalności na polu medycyny były także publikacje. W 1964 r. Alina wydała książkę pod tytułem *Cukrzyca u dzieci*, Marek w 1975 r. *Zawał serca: z doświadczeń Oddziału Intensywnej Terapii Szpitala im. Dr M. Pirogowa w Łodzi* (Komitet Redakcyjny Posiedzeń Naukowych Oddziału Kardiologii i Reanimacji).

W roku 1976 jego dom w Łodzi stał się centrum tamtejszego Komitetu Obrony Robotników. Po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r. Edelman został aresztowany i przez kilka dni był przetrzymywany w więzieniu w Łęczycy. Aż do przemian w roku 1989 pozostawał aktywnym członkiem „Solidarności”. Brał m.in. udział w obradach okrągłego stołu. Mimo represji ze strony komunistów pozostawał przeciwnikiem lustracji. „Ubeckie teczki nie mnie nie obchodzą” – powtarzał. Całe życie i całą swoją działalność podporządkował jednej zasadzie – zawsze stać po stronie słabszego. Także w Polsce i Izraelu. Nie szczędził krytyki, przez co i tu i tam nie brakowało środowisk mu niechętnych. Jak zauważył Aleksander Smolar, nie cierpiał narodowych mitologii, bez znaczenia – polskiej czy żydowskiej¹. W Izraelu zablokowano możliwość nadania mu tytułu *doctor honoris causa*. W kontekście relacji polsko-żydowskich mawiał: „Polacy robili dużo dobrego. I za to dostają orderzy w świetle jupiterów. Ale zrobili również wiele złego. I za to niech się biją we własne piersi”. Jego poczucie sprawiedliwości nie było też obojętne wobec tego, co działo się po zachodniej stronie polskiej granicy. W kwestii budowy tzw. Centrum przeciwko Wypędzeniom w Berlinie mówił: „Nie chodzi o to, by prosili o wybaczenie. Ale powinni znać swoje miejsce w historii świata”.

Życie Aliny i Marka Edelmanów to lekcja, której obyśmy nigdy nie zapomnieli. My wszyscy, w Polsce, w Izraelu, na całym świecie.

MARCIN URYNOWICZ

¹ *Hold antybohaterowi*, „Gazeta Wyborcza” z 17–18 X 2009 r., s. 26–27.